ROZMAITOŚCI.

Dnia 11. Czerwca. № 24. Roku 1856.

JEZIORO DE GERS.

(Z powieści genewskich R. Toepffera.)

(Z francuzkiego.)

Z Sixt można dostać się na dolinę Arwy, przebywszy łańcuch gór ciągnący się między Cluses i Sallenche. Droga ta mało komu znana, i używają jéj tylko przemytnicy, w których obfituje ta okolica. Ci śmiali ludzie zabierają towary w Martigny w kantonie Wallis, i drapiąc się z ogromnemi ciężarami po niedostępnych górach, schodzą swobodnie do wewnętrznych dolin Sabaudyi, chociaż strażnicy celni czuwają bez ustanku na granicy kraju.

Strażnicy są ludzie wiemy jacy, i dla czego?

Przemytnicy zaś są to ludzie uzbrojeni od stóp do głów i zawsze gotowi uraczyć kulką strażnika, gdyby mu przyszło do głowy przechadzać się po téj drodze, którą zachowali dla siebie. Ale szczęściem strażnicy wiedząc czém to się święci, nieprzechadzają się wcale, albo schodzą innemi ścieżkami. Jestto zawsze dowód wielkiego taktu z ich strony.

Przemytnictwo jest-to szkaradny wrzód naszego życia społeczeńskiego. Wyprawy przemytników są bowiem najlepszą szkołą złodziejstwa i zbrodni, i co roku wychodzą z niéj doskonali ucznie, których społeczeństwo musi poźniéj utrzymywać i żywić swoim kosztem po więzieniach i na galerach.

Miewałem często sprawę ze strażnikami. Koszule moje miały ten zaszczyt, że przetrząsali po wszystkich granicach ajenci wszystkich rządów od absolutnych aż do republikańskich. Ale nigdzie nieznaleziono nic zakazanego. Na wzmiankę o koszulach przypomniałem sobie pewne zdarzenie. Jechałem wtedy do Lugdunu. W Bellegarde przetrząsano nasze walizy, a w końcu chciano także zabrać się do osób z obawy o zégarki, gdyż Genewa ztąd niedaleko. Ja poddałem się najspokojniéj téj operacyi; ale pewien oficer angielski, stając w obronie podróżnych, gdy mu wyjaśniono o co rzecz idzie, wyciągnął spokojnie duży nóż z kieszeni i oświadczył, że przebije natychmiast piérwszego lepszego, ktoby się poważył dotknąć go nawet zdaleka.

Groźba ta wywołała wielką wrzawę. Strażnicy chcieli koniecznie wypełnić swój obowiązek, ale ów junak z pod Waterloo z ostrym swoim nożem nabawił ich niemałéj trwogi. Wprawdzie powtarzał dowódzca z całą powagą: „Przetrząsnąć tego jegomości!“ — ale nikt się nieruszył, bo Anglik odgrażał się ciągle z wzrastającą wściekłością: „Sprobujcie! a przebiję natychmiast piérwszego, i drugiego, a nawet trzeciego w dodatku!“ Pod tym „*trzecim*“ rozumiał oczywiście samego dowódzcę.

Sprawa ta mogła się zakończyć w sposób tragiczny, tak mocno zaciekł się szanowny gentleman, gdy wreszcie ja odważyłem się wystąpić w roli pośrednika.

— „Niech pan“ — rzekłem — „podaje swe suknie strażnikom, a oni wypełnią swój obowiązek nieubliżając wcale godności pana.“

Zaledwiem wyrzekł te słowa, przystał Anglik na ten warunek, i zdejmując swe suknie z gwałtownym pospiechem, rzucał je co chwila w twarz obydwom strażnikom. W końcu stanął nagi jak go Pan stworzył, i niezapomnę nigdy tego wyrazu, z jakim dowódzcy nakrył głowę swą koszulą mówiąc: „Oto masz, nędzniku! szukaj kontrabandy!“

Rzadziéj miewałem styczność z przemytnikami; ale spotkało mię to szczęście właśnie tego dnia, kiedym się odważył przeprawić sam jeden z Sixt do Sallenche przez góry, o których mówiłem. Wypytałem się dobrze o drogę: na milę przed dojściem do wierzchołka przechodzi się około małego jeziora, zwanego de Gers; daléj pnie się droga po grzbiecie długiéj skały, przerzynającéj równinę okrytą zlodowaciałym śniegiem, a w końcu spuszcza się ku lasom, które od strony Sallenche opasują jak korona kaskadę Arpenasu. Po trzygodzinnéj mozolnéj podróży spostrzegłem ze stroméj góry to małe jezioro. Jestto raczéj staw zamknięty w zielone ramy gór, które odbijają się w nim posępnemi rysy, a wody jego tak są przezroczyste, że oko sięga aż do lśniących mchów na dnie, które nakształt zielonego kobierca zakrywają ziemię. Usiadłem nad brzegiem tego bagniska, i niby drugi Narcyz przeglądałem się w zwierciedle jego, spożywając przytem z największym apetytem udo pieczonego kurczęcia.

Oprócz mego wizerunku widziałem także w wodzie przewrotny obraz pobliskich szczytów, lasów i całéj téj pięknéj okolicy, a nad nią wysoko dostrzegłem parę przelatujących kruków, które wydawały mi się zapadać gdzieś aż do głębi antipodów. I gdym się tak zabawiał oglądaniem tego obrazu, zdało mi się naraz, że jakaś głowa czy ludzka, czy zwierzęca, dość że jakiejś istoty żyjącéj, zaruszała się na pochyłości góry, na którą miałem wchodzić właśnie. Podniosłem natychmiast oczy, by rozpoznać właściwy przedmiot tego zjawiska, ale nic już niedostrzegłem, i w końcu téż przypisując to złudzenie chwilowemu wzruszeniu powierzchni wody, puściłem się w dalszą drogę z tém przekonaniem, że się znajduję sam jeden w całéj téj okolicy. Na wszelki sposób jednak niemogąc zaprzeczyć tego sam

przed sobą, że w istocie coś widziałem, stawałem od czasu do czasu oglądając się na wszystkie strony; a gdym się zbliżył do miejsca, w którém jak mi się zdawało spostrzegłem ową głowę, obszedłem ostrożnie kilka skał dokoła podwajając moją baczność.

Opowiadano mi, gdym był jeszcze na dole, historyę o téj cieśninie skalistéj, do któréj wdrapałem się w téj chwili. Sądzę że nie od rzeczy będzie opowiedzieć ją przy téj sposobności. Pewnego razu przechodziło tędy ośmnastu przemytników, każdy objuczony worem prochu z Berny. Ostatni w szeregu poczuł po niejakiéj chwili, że worek jego stał się znacznie lekszym, i zaczynał już cieszyć się tém spostrzeżeniem, gdy w tém przyszło mu na myśl, że ulga ta nastąpiła może kosztem samego ciężaru. Niestety sprawdził się ten domysł aż nadto: widoczny ślad prochu ciągnął się wzdłuż ścieszki, którą postępowali. Była to znaczna strata, ale co gorzéj jeszcze był to znak, który mógł zdradzić całą wyprawę i zwrócić uwagę na swe przeznaczenie. Krzyknął więc na swych towarzyszy, by się zatrzymali, i na ten krzyk usiadło równocześnie siedmnastu przemytników na swych workach, by się pokrzepić gorzałką i otrzéć pot z czoła.

Tymczasem ów ostatni, wpadłszy na jenialny pomysł, powrócił aż do tego miejsca, gdzie się zaczynał ślad prochu, i stanąwszy tam po dwugodzinnym pochodzie podpalił go ogniem z fajki, by zniszczyć ten znak niebezpieczny. We dwie minut potém usłyszał nadzwyczajny huk, który odbijając się o skaliste ściany gór, i powtarzając przeciągłém echem po dolinach i wąwozach sprawił mu cudowną niespodziankę. Były to owe siedmnaście worków z prochem, które będąc połączone ze śladem wyleciały w powietrze razem z siedmnastu ojcami familii, którzy siedzieli na nich. Z tego wyprowadzam dwa ważne wnioski.

Najpierw, że historya ta jest prawdziwa, przyjemna i zabawna, dostatecznie prawdopodobna i stwierdzona nietylko tradycyą, ale i samą ciaśniną, która istnieje dotąd, jak o tém każdy naocznie przekonać się może. Mnie wydaje się ona tak prawdziwą, jak przejście Hannibala przez górę Ś. Bernarda. Jakież są dowody tego przejścia? Oto pokazują wam najpierw białą opokę u podnóża góry, a potém dowodzą, że to ta sama skała, którą Kartagińczyk stanąwszy u szczytu, kazał rozpuścić w occie.

Drugi zaś wniosek jest ten, że w historyi téj zginęło siedmnastu ludzi; ale proszę uważać dobrze: pozostaje jeden, by zanieść wiadomość o tém. Ta okoliczność, można rzec śmiało, jest najlepszą oznaką wzorowéj powieści. Bo jeśli w bitwie, nieszczęściu lub katastrofie jakiéj ginie kilku ludzi tylko, jest-to pewien rodzaj skąpstwa; jeśli wszyscy giną, nastaje noc zupełna. Ale jeśli z pośród okropnéj, olbrzymiéj klęski wymknie się jedna, jedyna istota tylko, rozumie się dlatego, by zanieść wiadomość o tém, jest-to najwyższa doskonałość sztuki i pociecha dla czytelnika. I dlatego to obfita jest w podobne wypadki zarówno historya starożytna jak i tegoczesna.

W moim wąwozie było bardzo gorąco, chociaż w téj wysokości ochładzają nieco powietrze przeciągające wiatry; a zresztą piękny widok, otwiérający się przed oczyma, zachwyca duszę i dozwala zapomnieć o małych niewygodach, które na jednostajnéj równinie zdają się być nieraz nie do zniesienia. Gdym się obrócił po chwili, ujźrzałem niezmiernie blisko lodowaty szczyt góry Buet...., a oraz zdało mi się, że widzę niezbyt daleko coś ruszającego się poza ostatniemi sosnami, które minąłem; zacząłem sobie wyobrażać, że to mogą być nogi téj samėj istoty, któréj głowę widziałem przed chwilą i postępowałem daléj z coraz większą ostrożnością.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZWIERZĘTA AMERYKI ŚRODKOWÉJ.

Podróżni opisywali już wielokrotnie rozmaite rodzaje zwierząt pod równikiem, lecz po większéj części podawali ogólne tylko zarysy, powszechny charakter przyrody leśnéj, mniéj się zajmując rozlicznemi i wielce ciekawemi szczegółami z życia zwierząt leśnych. Ileżto już badaczy przyrody, botaników, zoologów i ornitologów snuło się po lasach i borach, a jednak zostało tyle jeszcze do opisania i dociekania. Przedmiotu tego niepodobna też wyczerpać zupełnie. Z mnóstwa ptactwa pstrego, kryjącego się z szczególném upodobaniem po lasach, aż do prześlicznie centkowanych i nakrapianych węźów i gadzin, stworzeń niemych, złowrogich i śmiertelnie jadowitych, pozostało bardzo wiele niezbadanych jeszcze. Jakże niedokładną wiadomość mamy o tych podzwrotnikowych, licznych rodzajach hymenopterów, które podobne do pszczół naszych gnieżdżą się wspólnie i rojnie na ziemi, w drzewach wypróchniałych i na krzewach wyższych, tworząc małe oddzielne państwa i komuny, wykonywujące połączonemi siłami dzieła architektoniczne dziwnéj nie raz wielkości, piękności i symetryi, a przy tém podzielając się w zgodzie wzorowéj pracą i korzyścią, trudem i swobodą. Jakże mało jeszcze wiemy o drobnych urządzeniach szczegółowych tych komun niepojętych. A jednak zasługują one tém bardziéj na naszą uwagę, że już sam instynkt, ten prawdziwy dar boski powodzi drobnemi zwierzątkami temi w ich usiłowaniach względem urzeczywistnienia problemu socyalnego, którego rozwiązanie praktyczne niepowiodło się od tylu tysięcy lat wiedzy i rozumowi ludzkiemu.

Jakoż wesoły nawet i urozmaicony widok wielkiéj wędrówki porannéj papug nietyle zajmuje uwagę podróżnika, co piérwszy widok wędrówki pracowitéj pod zwrotnikami rzeszy mrówczéj. Mrówki te ciągną tłumem nieprzejźrzanym, zwalczają wszelkie przeszkody w swym pochodzie i niosą liść rozmaity pod budowę, dźwigając na sobie ciężar dziesięciokrotnie tłoczniejszy i większy niż są same, i co je pokrywa całych swoją objętością. Jest-to niejako las ruchomy, birnamski u Szekspira. A jaki przy tém porządek, jaka pilność i gorliwość, chociaż nie ma żadnych dozorców i żadnego przewodu! Jeśli która z mrówek potknie się o jaką zawadę, lub jeśli upada pod ciężarem, zaraz spieszą jéj w pomoc inne. W razie spotkania się z nieprzyjacielem jakim wstrzymującym ich pochód, rzucają się nań wszyscy. A gdy które ze zwierzątek zostanie ranne lub do walki niezdatne, natenczas zanoszą kalekę do kopca mrówczego, gdzie go jak najstaranniéj pielęgnują. Są to prawdziwe zakłady narodowe, gdzie wszyscy bez wyjątku pracują zarówno, z ochotą i bez

żadnego ociągania się, bez żadnych wymagań upartych, w zgodzie i jedności, i w prawdziwém braterstwie zawstydzającém Ikaryę Cabeta, która z swemi namiętnościami ludzkiemi pozostanie na zawsze mrzonką tylko i ideałem nigdy niedoścignionym.

Wielu podróżnych opisując kraje podzwrotnikowe i ich przyrodę, mijało się często z prawdą, gdyż przytaczali obrazy i zjawiska wyjątkowe i rzadko się wydarzające w rzeczywistości. Otóż większa część czytelników wyrobiła sobie mylne o tém wszystkiém wyobrażenia, i nie jeden z nich odbywając później tę samą podróż, wielce się zdziwia, jeśli zaraz w piérwszych dniach wędrówki leśnéj nie widzi żbików pstrokatych wieszających się po drzewach, i niezdybuje się co krok z małpami rozmaitego rodzaju, lub i z olbrzymiemi wężami czatującemi po krzakach.

W krajach leżących pod zwrotnikiem znajduje się wprawdzie wielka rozmaitość zwierząt różnego rodzaju, lecz rzadko kiedy mieszczą się w bliskiém obok siebie sąsiedztwie. Bardziéj jeszcze od przyrody leśnéj zależy właściwość przyrody roślinnéj od warunków miejscowych. W głębi pierwotnych lasów pod zwrotnikami, gdzie żaden przerąb nie rozwidnia głuszy ciemnéj i ponuréj, panuje cisza niemal grobowa, i rzadko tylko spotkać się tam można z jakiém zwierzem leśném, stroniącém od światła dziennego i ludzi. Wązkiemi ścieżkami co muły wydeptały, można dni kilka i więcéj podróżować gęstym borem, i nie natrafić na żadne stworzenie żyjące prócz ptaka jakiego lub dzikiego kota, i to rzadko kiedy, a oprócz tego zwierzęta te uchodzą przed ludźmi i ukrywają się w miejscach niedostępnych. Natomiast w stronach widniejszych dosiadują zwierzęta dość tłumnie, aż pokąd huk strzałów ponawianych nie wypłoszy ich całkiem z obranéj siedziby.

Najliczniéj przebywają jednak nad samotnemi brzegami jezior lub rzek wielkich, szczególnie przy ujściu ich do morza. Małe statki parowe północno-amerykańskiego Towarzystwa żeglując rzeką „Rio San Juan“ ku morzu, nie mogły dość nadziwić się wspaniałości przyrody tamtejszéj i tłumowi zwierząt rozlicznych. Ponawiający się jednak dość często łoskot kół u paropływów, tudzież wystrzały z dubeltówek i rewolwerów podróżnych kalifornijańskich wystraszyły kajmany, żbiki, małpy a nawet ptactwo. Podróżni muszą teraz zamiast dawniejszego widoku poprzestawać na przysłuchywaniu się głosom zalatującym z gęszczy krzaków. Zwierzęta leśne stronią z przerażeniem od dymiących i nieznośnych im paropływów, i ukrywają się zapewne niedaleko ujść rzek wpadających do Rio San Juan, a mianowicie u brzegów rzek Sarapiqui i San Carlos.

Najmocniejsze wrażenie sprawił na mnie piérwszy widok przyrody pod zwrotnikami podczas koczowania naszego nad brzegami rzeki Sarapiqui w państwie Costa rica. Właściwość przyrody roślinnéj i leśnéj przechodzi tam wspaniałością swoją wszelkie wyobrażenia. Najciekawszém jednak zjawiskiem są zwierzęta leśne w takich osobliwie okolicach, gdzie lasy, wzgórza i widne płaszczyzny stykają się z brzegami jakiéj rzeki, jak naprzykład rzeki Miravalles w Costa rica, i Punian w Gwatemali, gdzie najbujniejsza roślinność nad lesistemi i samotnemi brzegami Rio grande de Costa rica, między las Trojas i u ujścia samego. W tém miejscu dzikiém i samotném znajduje się tak w powietrzu jak i na wodzie dziwna rozmaitość najpiękniejszych, jak niemniéj najobrzydliwszych stworzeń strefy gorącéj. Arasy prześliczne, purpurowe, z błękitno-złocistemi piórami lotnemi, tukany z dziubami olbrzymiemi, pstrokate co do barwy i dziwne co do kształtu kołyszą się z wrzaskiem na wierzchołkach palm, a na ich liściu pierzastém zakłada żółto-ogoniasty montezuma (Cassicus Montezuma) sztuczne swe gniazdo, wiszące jak torba. Prześliczne węże koralowe, lecz tak jadowite, że ukąszenie ich w niewielu już minutach zabija, wygrzywają się na słońcu pod krzakami, na których iguany olbrzymie wyławiają

owady błyszczące. Niedaleko tych mieszkańców nadbrzeżnych pławią się w rzece krokodyle, lecz niedorastają one w Ameryce środkowéj do téj jak krokodyle nilowe wielkości. Widzieć je można w znacznéj liczbie u ujścia rzeki, a w liczniejszéj jeszcze haje ogromne, które z przypływem morza zwiedzają koryta rzeki. Obawiają się ich téż nierównie więcéj niż krokodylów, które prawie nigdy ludzi nie napastują, gdy tymczasem żeglarz wpadłszy do morza z przewróconéj falami łodzi swéj, dostaje się prawie w tejże saméj chwili w paszczę haja żarłocznego.

Alligator rzadko kiedy ośmiela się w tém miejscu wychodzić na brzeg rzeki; za to pojawiają się bardzo licznie na małych wyspach piasczystych rzeki Rio. Około południa skwarnego wyłażą z wody, i jak są ociężałe wygrzewają się na piasku gorącym. Czasem widać ich po kilkanaście na raz tuż pod chatą którego z rybaków. Śpią bardzo czujnie, i zmykają do wody za zbliżeniem się czółna rybackiego. — Ponad temi potworami żywiołu mokrego, wzlatuje ptactwo drapieżne mniéj od krokodylów srogie i obrzydliwe, a to orły rzeczne, białe i czarno centkowane sokoły, pelikany, szare mewy, różne rodzaje tantalów, ibisy i czaple srebrzyste. Wychwytują one z wody pozostałe po potworach morskich niedogryzki.

Zjawiska przyrody leśnéj w borach podzwrotnikowych najlepiéj obserwować zrana. O wschodzie słońca zaczyna się koncert ptaszy, rozgłośny wprawdzie, lecz téż piskliwy i rażący. O innéj porze dnia słychać już pienia i głosy szczególnych tylko ptaków. Rozmaite śpiewaki i krzykacze borów odwiecznych przysłuchują się wzajemnie. Papugi i cykady uciszają się słysząc śpiew drozda szyderczego lub cylgera. Rankiem jednak chce każdy ptak śpiewać i każdy głośny owad brzęczeć.

Najstraszniejszym krzykaczem leśnym zagłuszającym wszystkie inne zwierzęta jest Congo, małpa z rodzaju mycetów, któréj chrząstkowata narość u wiązadła językowego nadaje głosowi jéj taką siłę, że słychać ją na milę i daléj. A gdy więcéj takich małp zawrzeszczy razem, natenczas wszystko zagłuszą. Nawet ryk chciwego puma i jaguara, i złowrogie, głębokie rżenie krokodyla, głuchnie obok potężnego i rozległego głosu małpy wspomnionéj. Rzecz szczególna, że rodzaj małp tych, dość liczny w lasach wschodnich Ameryki centralnéj, rzadko się zawadza w okolicach cichego oceanu. Congo, którego głos przeraża podróżnych nieobeznanych jeszcze z zjawiskami w lasach odwiecznych, zwłaszcza że go uważają za ryk zwierza drapieżnego, jestto stworzenie potulne, co przeraźliwym swym głosem ani myśli straszyć nikogo, i tylko obwieszcza nim rozmaite wrażenia i skłonności swe zwierzęce, jako to: radowanie się bytem swoim, chęć posiłku, lękanie się burzy nadchodzącéj, lub gody weselne. Obdarzony od przyrody głosem grzmiącym, nie zdolen jest wydawać wrażeń przyjemnych głosem łagodniejszym, i ryczy jakby opętany.

Rzeczą wiadomą, że najpiękniejszéj roślinności nie szukać w krajach skwarnych, lecz w okolicach strefy umiarkowanéj, a mianowicie u podnóża gór Cordilelleras. Tak samo znachodzą się téż najpiękniejsze rodzaje ptactwa z głosem najpieściwszym tylko na wzgórzach wyniesionych 5 do 7000 stóp nad powierzchnią morza, gdzie nie znają ani zbytnich upałów, ani zimna dotkliwego, lecz gdzie wieczna wiosna panuje. Tam też kwitną najpiękniejsze rodzaje trochilów świetniejących blaskiem brylantowym, tam, a mianowicie na wysoczyznach w Guatemali znachodzi się także i kwezal (Trogon resplendens), najpiękniejszy może ptak świata nowego, mający obok prześlicznego pierza i najozdobniejszy kształt piór lotnych i u ogona, i który tak się pyszni tą ozdobą, że według twierdzenia myśliwych indyjskich zapada po utracie jéj w smutek głęboki, i ze zmartwienia usycha i ginie. Na tych wysoczyznach znajduje się także i ptak zwany w Ameryce środkowéj „Cylgero“,

a w Peru „Organista“. Śpiew jego jest tak miły i silny jak drozdy szyderczéj (Orpheus polyglottus), lecz nierównie przyjemniejszy, podobny raz do liry, drugi raz do fletu, i daleko piękniejszy od głosu słowika w bukowych lasach skandynawskich. *)

Najkrzykliwszym, najweselszym i najwięcéj towarzyskim z ptaków podzwrotnikowych jest bezsprzecznie papuga, mająca pióra barwy rozlicznéj. Pókąd dziko w lasach przesiaduje, jest bardzo ostrożna i stroni od ludzi, złowiona jednak łatwo się oswaja. Czepia się zwykle na wierzchołkach drzew najwyższych, gdzie ją śrótem niełatwo dosięgnąć. Strzelcowi tak ją trudno podejść, jak u nas kruków. Odszczególniają się ciągłém paplaniem; czyto w locie, lub skacząc po gałęziach, muszą zawsze szczebiotać. Samce są bardzo przywiązane do samic, chociaż czasem muszą mieć o kilku na raz staranie, a najbardziéj w tym względzie odznaczają się papugi zwane „Nierozwody“. Jakoż nawet prześliczne, wielkie arasy wystawiają się na największe niebezpieczeństwo i gardzą śmiercią z rozpaczy, a samiec utraciwszy swą samicę natrąca się strzelcowi i siada na krzakach poblizkich zawodząc lub złorzecząc mu głosem rozsrożonym. Piękniejsze od nich co do barwy piór są inne rodzaje papug, zwane ampelidami i trogonami, a bardziej jeszcze drobne nektaryny i troleje, znachodzące się w ciepłych okolicach gór Tierras calientes. — Kolibry uganiające się lotem strzały, przelatują jak błyskawica lub promień ognisty, wieszając się tylko lub ulatując nad kwiatami z świegotem, przyczem trzepoczące skrzydełka ich wydają się jakby kółeczka ogniste.

W Ameryce północnéj znany jest tylko rodzaj zielonawo-złocistych kolibrów (Trochilus colubris); stare samce mają rubinowy podgardziel, u młodych zaś ozdoby téj jeszcze nie widać. Te północne kolibry odbywają lotem dalekie nie raz podróże na północ, i zalatują aż do Eskimów. Letnią porą natrafiałem w ponurych lasach sosnowych Ameryki północnéj o kilkanaście mil na północ od Quebeck u ujścia rzeki świętego Wawrzyńca. Jedyny to zresztą ptak z rodzaju swego, który się puszcza w podróż daleką. W Ameryce środkowéj znajdują się rozmaite rodzaje kolibrów; wszystkie z nich mają śliniącą barwę pierza, zielonawo-złocistą lub ciemno-purpurową.

Kolibry zostają z przyrodą roślinną w szczególnéj styczności, i równie niektórym owadom, a mianowicie cetoniom i hymenopterom pośredniczą rozpłodnieniu kwiatów. Wiele roślin ma tę właściwość, że są dwurodzajowe, a pył zapładniający nie łatwo wzajemnie sobie udzielają. Dość znaczna liczba roślin téj strefy, a mianowicie co najpiękniejsze monocotyledony są dwurodzajowe. Ileż-to palm żeńskich byłoby nieurodzajnych, gdyby nie pośrednictwo ptaka wspomnionego. Pyłek do ich zapłodzenia potrzebny nie może się bowiem tak łatwo dostać z wiatrem przez gęstą tkankę lianów. Lecz kolibry ulatując chyżo z jednéj palmy na drugą i przeciskając się przez najgęstszą nawet siatkę liści i włókien, przynoszą roślinom ten pyłek, wtykając dzióbek z główką w kielich kwiatu i dotulając się go pierzem i skrzydełkami swemi. Jest-to istotnie zjawisko rzadkie, a najdrobniejszy ze wszystkiego ptactwa przeznaczyła przyroda do zapłodnienia drzew największych na świecie.

Zjawisko ptactwa różno-rodzajowego, jak niemniéj i tony głosu jego zależą tu od rozmaitych por dnia. Podziwiać należy ten porządek, w jakim ptactwo niektóre zjawia się

---

*) Cylgero (Yilgero w Guatemali) jest rzeczywiście z rodzaju słynnego organisty w peruwiańskich górach Andes i z gatunku troglodytów, chociaż nieco odmienny. Podróżni z Guany i Brezylii piszą o tym przecudnym śpiewaku, zwanym tam „Cyphorhinus carinatus“, lecz właściwie organista peruwiański jest z rodzaju ptaków zwanych „Troglodytes lencophrys“. Również i na wyspie Kubie znajduje się ptak podobny, barwy cynamonowéj, podobny do peruwiańskiego. Za ptaka takiego płacą w Hawannie bardzo drogo, niekiedy do 200 piastrów hiszpańskich.

i znika każdego ranka i każdego wieczora, jak świegocze i znów milknie o pewnym czasie. I tak jak naprzykład botanikom służą pewne kwiaty za skazówkę zegarową, tak głos ptactwa oznajmia myśliwemu w lesie to, co dzwony wieżyc mieszkańcom wiejskim. Wrzawa poranna, o którym to czasie tyle zwierząt leśnych wyje lub wrzeszczy, śpiewa lub świegocze, trwa tylko krótką chwilę. Poźniéj słychać już głosy tylko szczególne. Niektóre cykady śpiewające odzywają się dopiéro podczas największego skwaru południowego. Sinogarliczki z rodzaju najdrobniejszego i mało co większe od naszych wróbli, kwilą o téj porze dnia głosem smutnym i tkliwym, a p. Tsehudi utrzymuje w szkicach swych peruwiańskich, jakoby głos ten podobny był do głosu ludzkiego.

Niektóre ptactwo poranne, a szczególnie papugi i większa część ptactwa leśnego z rodzaju kurzego, odzywają się i w godzinach wieczornych. W kolonii Angostura, położonéj nad Rawentazonem w okolicy lesistéj, i wprawdzie pięknéj lecz samotnéj i wzbudzającéj tęskne uczucia, słyszeliśmy codzień o 6 godzinie po południu z gąszczy silny głos ptaka, który się o żadnéj innéj porze dnia nie odzywał. Robotnicy tamtejsi kończą zwykle dzienne swe zatrudnienie za słyszeniem tego głosu ptasiego. Podczas noclegów naszych w borach amerykańskich zrobiłem to postrzeżenie, że w lasach Ameryki południowéj nocną porą nie tak gwarno, jak o tém piszą podróżni. Z zapadającym zmrokiem przylatują sowy złowieszcze prawie bez żadnego szelestu, i usiadłszy na gałęzi, dziwne wyrabiają dygi. O téj porze pojawiają się także i wielkie niedoperze, tuczą się one krwią i są największą plagą dla każdéj trzody. Niedoperze te nie robią również w polocie swym szelestu, a zresztą i głosu ich nikt nie usłyszy, gdy tymczasem sowy wydają ciężkie nie raz westchnienia, zwłaszcza jeśli są syte lub się wabią wzajemnie. Tak samo jest i u tygrysów i lwów amerykańskich; ryk ich przeraźliwy oznacza zwykle zdobycz pożądaną, a w niektórych miesiącach wabią się tém samce i samice.

Niektóre rodzaje ptactwa leśnego odzywają się nocną porą i jakby umówioną koleją, a dla obeznania się z głosami wszystkich ptaków i zwierząt leśnych nie wystarczyłoby długoletnie, a choćby nawet i dożywotnie doświadczenie strzelca. Wielu bowiem z tych krzykaczy lub śpiewaków odzywa się tylko z najgłębszego ukrycia na szczycie drzew uwitych gęstą tkanką roślin powojowych, lub z niedostępnych zarośli. Dlatego téż może strzelec i kilka lat chodzić po lesie, i co rana słyszéć cudowny śpiew cylgiera, nim go raz na własne oczy ujżrzy przypadkiem.

SZCZĘSNA ŚMIERĆ.

(Z Rejtharda, szwajcarskiego poety.)

Bym oddał ducha, jak róża na górach
Co dla poziomu zwoju nieotwiera,
Chyba dla istot co mieszkają w chmurach,
W najczystszych tchnieniach jak wszczęta — umiera.

Oby śmierć moja było takie ujście,
Jak ujście Nilu, świętego dunaju,
Przede mną morze — tak, wieczności dójście!
Za mną — mój żywot, pełen urodzaju!

Obym mógł umrzeć, jak pelikan kończy,
Co ginąc życie rozdawa zarazem,
Co krew z pod serca dla swych piskląt sączy,
I jest nieścigłym miłości obrazem.

Oby dni moje były wiosną wieczną,
A skon jesienią, cichą i łagodną,
Co darząc ludzi pogodą stateczną,
Jest wraz tak żyzną, tak jasną, tak godną.

O wtedy zgasłbym jak to róży kwiecie,
Co nie w kałuży na górach pałało;
Panie! Ty który rozrządzasz na świecie,
Spraw, ciało moje by tak umierało.

A. F.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*